

Andrzej Marek Grabowski  
Dziewczynka ze srebrnym zębem

© by Andrzej Marek Grabowski  
© by Wydawnictwo Literatura

*Okładka i ilustracje:* Katarzyna Kołodziej  
*Korekta:* Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I w Wydawnictwie Literatura  
Łódź 2024  
ISBN 978-83-8208-260-9

Wydawnictwo Literatura



91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl  
tel. (42) 630-23-81  
www.wydawnictwoliteratura.pl

Jak wpłatałem się w tak okropną historię? Oczywiście przez dziewczynkę ze srebrnym zębem!

Dzisiaj śmieszą mnie przygody, które przeżyłem wiele lat temu, jednak wtedy czułem się jak bohater horroru, thrillera i kryminału. Trzy dreszczowce w jednym! A na deser jeszcze niezła awantura!

Historia, którą Ci opowiem, wydarzyła się naprawdę. W czasach, kiedy nie wymyślono jeszcze kompa, tabletu i innych sprytnych wynalazków. Nawet telewizory (i to wyłącznie czarno-białe) były rzadkością. Oczywiście o grach komputerowych i telefonach komórkowych nikomu się nie śniło. Nie dość tego, zwykłe telefony na kablu znajdowały się w niewiele mieszkaniach.

Może pomyślisz, że to były strasznie nudne czasy. Ja uważam, że bardzo ciekawe, bo dzieci bawiły się i przeżywały przygody nie na ekranie laptopa, lecz naprawdę – w realu.

Zapraszam Cię w podróż do przeszłości, do świata, w którym Twoi dziadkowie byli dziećmi. Ulicami miast jeździło wtedy niewiele samochodów, za to można było spotkać ciągniętą przez konia furmankę. Latem po podwórkach chodziły

panie z koszami leśnych owoców, wołające melodyjnie: „Jagody, jagody, jagody, ja...” oraz panowie z urządzeniami do ostrzenia noży i nożyczek. Zdarzało się, że kiedy wykonywali swoją pracę, z koła szlifierki strzelał w górę snop gwiazdzystych iskier. Rozlegało się wtedy pełne zachwyty: „Ooooo!” zebranej dookoła dzieciarni. A dzieciarnia codziennie grała w piłkę, bawiła się w podchody, w berka albo w chowanego. Te gry i zabawy wywoływały niesłychane emocje, czasami kończyły się rozbitym kolanem, śliwką na czole lub nawet... podbitym okiem. Jednak takimi drobiazgami nikt się nie przejmował.

Bohater tej książki – Andrzej, ma osiem lat. Jest chudym blondynkiem na patykowatych nogach. To chłopiec jak miliony innych, niczym się nie wyróżnia. Nie ma nawet odstających uszu ani piegów. Od kolegów z pierwszej klasy różni się tylko tym, że często choruje. A kiedy leży w łóżku, wymyśla dziwne historie pełne niezwykłych postaci. Później bohaterów swoich marzeń rysuje ołówkiem w zeszyte.

Czasami Andrzej wyobraża sobie, że nocą przylatuje kosmiczny talerz i odwiedza go banda zwariowanych ufoludków. Mają niebieską skórę i złote, wielkie jak bochny chleba oczy. Ufoludki szybko się z Andrzejem zaprzyjaźniają i zabierają go w kosmiczne podróże. Zdarzają się im walki z Gębożujami – mieszkańcami wrogiej planety Zgryzak, szukanie skarbów w kraterach zapomnianych komet i polowania na skrzydlate Mamoleśniki. Oczywiście są to bezkrwawe łowy. Schwytany Mamoleśnik łatwo daje się oswoić, można na nim fruwać jak na latającym dywanie i zostaje najwierniejszym przyjacielem.

Jego miękkie, beżowe futro jest zawsze ciepłe. Ach, jak miło się do niego przytulić...

Kiedy Andrzej po raz kolejny zachorował, nie wiedział jeszcze, że niedługo weźmie udział w naprawę niezwykłych, a nawet okropnych wydarzeniach... Ale, drogi Czytelniku, nie bój się! Śmiało ruszaj w głąb tej opowieści, bo przecież książki dla dzieci zawsze dobrze się kończą! No, powiedzmy, prawie zawsze...



## Szpital

To wygląda na zapalenie płuc. Trzecie w tym roku! – powiedział doktor Stankiewicz. – Wezmę go do szpitala.

Mama jęknęła. Natychmiast jednak uświadomiła sobie, że nie może mnie przestraszyć, więc uśmiechnęła się i pogłaskała mnie po głowie.

– Czy to konieczne? – zapytała.

– Wezmę go do siebie na oddział. Na kilka dni. To, co prawda, szpital reumatologiczny, ale będę miała na niego oko i przy okazji zrobimy wszystkie badania.

Tak zaczęła się jedna z najdziwniejszych historii w moim życiu.

Do szpitala pojechaliśmy taksówką. Zapadł już wieczór.

Szkoda, że nie mogę polecieć na Mamoleśniku – myślałem. Pierwszy raz miałem zostać sam, bez rodziców. Niezbyt mi się ten pomysł podobał... Jednak postanowiłem być dzielny i nie płakać.



Obudziłem się, kiedy na dworze było jeszcze szaro. Przy oknie stała kobieca postać.

– Mamusi! – zawołałem i zamknąłem oczy.

Poczułem, że mama poprawia mi kołdrę. Opatula mnie, tak jak zwykle, a potem głaszcząc po głowie. To było bardzo miłe. Chociaż dłoń mamy, zawsze delikatna, tym razem wydała mi się twarda i ciężka.

– Śpij, malutki – usłyszałem.

To nie był głos mamy! Otworzyłem oczy. Przy łóżku stała starsza, tęga pani w białym fartuchu.

Gdzie ja jestem?! – przemknęło mi przez myśl. – Kim jest ta kobieta?!

Dopiero po chwili przypomniałem sobie, że przecież wczoraj wieczorem znalazłem się w szpitalu. Starsza pani to salowa.

Kobieta odsłoniła okno i wyszła. Zostałem sam. Po przyjeździe do szpitala umieszczono mnie w izolatce\*, sali przytulnej jak pałac Królowej Śniegu: białe ściany, białe łóżko, biała szafka i blade zasłonki. Choć w pokoju było ciepło, sprawiał wrażenie strasznie zimnego.

Jedną ze ścian od połowy do sufitu przeszklono, więc mogłem zobaczyć, co dzieje się w sąsiedniej izolatce. Niestety nie działo się w niej nic – była pusta.

Zajrzałem do torby. No tak, jeszcze tego brakowało – zapomniałem książek! Nie zabrałem też kartek i ołówka! Mam nadzieję, że szybko mnie wyleczą, bo jeśli nie, to umrę z nudów – pomyślałem.

\* Izolatka – jednoosobowy pokój w szpitalu, najczęściej przeznaczony dla osób chorych na choroby zakaźne. Możecie sobie wyobrazić, jak smutno i nudno bywa w izolatkach.

Na szczęście po dwóch dniach badań, prześwietleń, pobierania krwi i siusiania do szklanych naczyń zostałem przeniesiony do sali numer pięć.



Piątka dobrze się kojarzyła.

To najlepszy stopień w szkole\*, więc może ten numer przyniesie mi szczęście?

Ściany tej sali również były od góry przeszklone. Jednak szyby wstawiono z trzech stron. Pielęgniarki i lekarze, idąc korytarzem, widzieli, co się dzieje w środku. Można było też zobaczyć, co robią dzieci w salach obok.

Jak w akwariium – pomyślałem.

Na listwach, między szybami, wisiały wesołe rysunki w ramach. Zasłonki też miały miłe wzorki. Między oknami stał stół, na którym leżał wielki kolorowy obrazek przedstawiający przerażonego Kaczora Donalda i jego siostrzeńców, uciekających łódką przed wielkim, zębatym rekinem. Obraz składał się z setek, a może tysięcy malutkich kartoników. Środek układanki był pusty. Rysunek był tak piękny, że nie mogłem oderwać od niego wzroku. Nigdy czegoś takiego nie widziałem!

– Tu się połóż – pielęgniarka pokazała dłonią łóżko i wyszła.

---

\* Piątka była w tamtych czasach najlepszym stopniem w szkole. Do tej pory niektórzy mówią, że coś zostało zrobione „na piątkę” – czyli najlepiej, jak to możliwe.

Jej słowa wyrwały mnie z zachwyty nad obrazkiem. Rozejrzałem się po sali.

Stały tam cztery łóżka. Wolne było jedno – przy drzwiach. Pod lewym oknem leżał rudy chłopiec, trochę starszy ode mnie. Obok niego stało coś, co przypominało metalowy wieszak na ubrania. Na „wieszaku” wisiała butla z bezbarwnym płynem. Przezroczysta rurka prowadziła od butli do ręki chłopca. Przez wbitą w żyłę igłę lekarstwo wpływało do jego ciała.

Jaki wielki zastrzyk! – pomyślałem ze zdziwieniem.

– Co się tak gapisz? – zaśmiał się chłopiec. – Kroplówki nie widziałeś?

– Nie-e – zająknąłem się.

– Cukierki masz?

– Ta-ak.

– To mu nie dawaj – włączyła się do rozmowy jego sąsiadka, pulchna dziewczynka w piżamie w kaczuszki. – Mnie daj.

– Ty nie możesz słodyczy – powiedział chłopak. – Pokaż, jakie masz!

Podszedłem do chłopca i podałem mu cytrynowego sugusa. Mama uczyła mnie, żeby cukierków nie podawać ręką, lecz częstować nimi z torebki, ale bałem się, że chłopak weźmie kilka. Pulchnej dziewczynce też dałem jednego. Cytrynowe sugusy były moimi ulubionymi cukierkami. Białe, kwaśno-słodkie, miękkie jak toffi. Ale toffi były brązowe i miały zupełnie inny smak.

– Daj jeszcze – wyciągnął rękę chłopiec.

– I mnie też – przymilnie uśmiechnęła się dziewczynka.

– Zostawcie go w spokoju! – rozległ się głos spod drugiego okna. – Nie widzicie, że nowy jest? Zjecie mu wszystkie i jak wróci Siwy, to nie będzie miał!

Odwrociłem się.

Pod drugim oknem leżała dziewczynka. Mogła mieć jedenaście, dwanaście lat. Podeszedłem do wolnego łóżka obok niej. Torbę postawiłem na podłodze, zdjąłem szlafrok i wsunąłem się pod kołdrę.

– Jestem Anka, a ty? – uśmiechnęła się, a w jej ustach coś błysnęło.

– Andrzej – odpowiedziałem, wpatrując się w jej buzię.

Uśmiechnęła się jeszcze raz. Tym razem wyszczerzyła się pokazowo, abym mógł dłużej popatrzeć. W górnej szczęce, na samym przodzie radośnie świecił srebrny ząb!

– Fajny, nie? – zapytała.

Z przejęciem pokiwałem głową. Srebrny ząb to było coś. Czasami widywałem złote, ale złote wcale mi się nie podobały.

Też chciałbym mieć srebrny ząb – pomyślałem.

Warkoczyki i piegi sprawiały, że moja nowa koleżanka przypominała Fizię Pończoszanek z książki, którą niedawno czytałem. Ze zdumieniem zauważyłem, że bawi się kurzym jajkiem! Przekładała je z dłoni do dłoni.

Zachichotała i rzuciła jajko w moją stronę. Przestraszyłem się, że się rozbije, więc szybko wyciągnąłem ręce, żeby złapać.

Było ciepłe.

– Nie bój się! Na twardo – powiedziała.

– Ja też mam – pochwalił się rudy chłopak.

– Każdy ma – podniosła swoje jajko pulchna dziewczynka.

– A ja nie mam – odrzuciłem jajko do Ani.

– A byłeś już na parafinie? – zapytał rudy.

– Nie. Chyba nie.

– Jakby był, toby dostał jajko – mruknęła dziewczynka ze srebrnym zębem.

Nie miałem pojęcia, o co chodzi z jajkami, kim jest Siwy, który ma skądś wrócić, i co to jest parafina...

– W izolatce byłem – wyjaśniłem, co znowu wszystkich rozbawiło.

– On nie będzie miał parafiny – odezwał się głos przy drzwiach. Do sali weszła doktor Stankiewicz. – Andrzej nie choruje na reumatyzm.

Podeszła do mojego łóżka i usiadła na brzegu.

– Podnieś piżamę.

Pochuchała na lejek stetoskopu, żeby zrobił się cieplejszy, po czym zaczęła mnie osłuchiwać.

– Znacznie lepiej, ale dzisiaj jeszcze nie wstawaj z łóżka. Chyba że do ubikacji. I włóż szlafrok!

– A kiedy przyjdzie moja mama? – zapytałem.

– Wizyty są w niedziele – uśmiechnęła się pani doktor. – To tylko cztery dni. Czas szybko minie, bo masz tu bardzo miłe towarzystwo.

Wyszła, a ja poczułem, że robi mi się strasznie smutno. Jeszcze cztery dni bez rodziców?!

– Tylko nie becz – szepnęła Anka. – Nie lubię, jak ktoś płacze.

Spojrzałem na nią.

– Płkanie nie ma sensu. Jest głupie – powiedziała spokojnym głosem. – Jak jest jakiś problem, to trzeba go rozwiązać,

nie? A jak nie można rozwiązać, to płacz i tak nie pomoże. Jasne?

Pokiwałem głową.

– Tak mówi mój tata – podrzuciła jajko wysoko, prawie do sufitu. Kiedy spadło, wyjęła z szuflady jeszcze dwa jajka i zaczęła nimi żonglować.

Widocznie zauważyła moje zdziwione spojrzenie, bo wyjaśniła:

– Ja z cyrku jestem. Ciebie też mogę nauczyć żonglować. Chcesz?

– No jasne! – uśmiechnąłem się od ucha do ucha. Po raz pierwszy spodobało mi się w szpitalu. Fajnie mieć taką koleżankę z cyrku jak ta dziewczynka ze srebrnym zębem.



– Najpierw musisz ćwiczyć przerzucanie piłeczki z ręki do ręki – zaczęła lekcję.

– Ale ja nie mam piłeczki.

– No, jajka – zaśmiała się. – Żonglować można wszystkim: jabłkami, ziemniakami... Kiedyś żonglowałam nawet głowami lalek!

– Jak to? – znowu nie rozumiałem.

– Normalnie, wykręciłam głowy trzem lalkom i żonglowałam nimi. Nieważne. Przerzucaj jajko z ręki do ręki.

To było łatwe. Ania podała mi drugie.

– A teraz przerzucaj na krzyż. Dwa jajka naraz, muszą się mijać w locie, a ty musisz łapać oba.

Ta sztuczka nie była już taka prosta. Wreszcie jajka raz i drugi zderzyły się w powietrzu i popękały.

– Nie martw się. Jak przyjedzie mój tata, dostaniemy piłeczki. Bo na razie...

Anka zawiesiła głos.

– Co na razie? – zapytałem.

– Nie ma piłek, bo Siwy jej zabrał! – zawołał rudy chłopiec.

– Kto to jest ten Siwy?

– Chuligan – mruknęła pulchna dziewczynka. – Kradnie, zabiera, bije wszystkich.

– Ale teraz na szczęście go nie ma – wyjaśniła Ania.

– Wzięli go na badania do innego szpitala. Może już do nas nie wróci...

Szybko obrała jajko ze skorupki i ugryzła ze smakiem.